ROK VI. CHICAGO, dnia 27go GRUDNIA 1888. **No. 52**



Wychodzi raz na tydzień. Kosztuje rocznie [illegible] Dla tych co trzymają Gazetę Katolicką, wynosi przedpłata roczna tylko 50 centów. [illegible] Europy: z Gazetą $1.00, bez Gazety $1.50.
Przedpłata musi być naprzód opłacona. — Pokwitowań nie ogłasza się.

Wszelkie listy i korespondencye adresować należy: / All comunications must be adressed: } W. Smulski, 635 Noble st. Chicago.

APROBATA.

Niniejszem udzielam aprobatę moją pismu „Dzień Swięty" i zalecam takowe jak najgoręcej naszym Polakom-Katolikom.

CHICAGO, dn. 3go Stycznie R. P. 1883.

† P. A. FEEHAN,
Arcybiskup Chicagoski.

Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 27 grudnia.	Jana apost. ewangelisty.	Radomyśl.
Piątek, 28 grudnia.	Młodzianków.	Godzisław.
Sobota, 29 grudnia.	Tomasza bisk. męcz. .	Gosław bł.
Niedziela, 30 grudnia.	Po B. N. Dawida króla	Ludomił.
Poniedziałek, 31 grudnia.	Sylwestra papieża.	Lassota.
Wtorek, 1 stycznia.	NOWY ROK. Mieczysława.	Sławosz.
Sroda, 2 stycznia.	Markarego Pustelnika.	Wszebór.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ PO BOŻEM NARODZENIU.

Ewangielia ś. Łukasza w. rozdz. II. od w. 33. do 41.

W owym czasie dziwowali się ojciec i matka Jego temu, co o Nim mówiono. I błogosławił im Symeon, i rzekł do Maryi, matki Jego: Oto Ten położon jest na upadek, i na powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą; a duszę twą własną przeniknie miecz, aby myśli z wielu serc były objawione. I była Anna prorokini, córka Fanuelowa, z pokolenia Aser. Ta była bardzo podeszła w leciech, a żyła siedm lat z mężem swoim od panieństwa swego. I była wdowa aż do lat ośmdziesiąt i czterech, która nie odchodziła z kościoła, postami i modlitwami służąc Bógu w dnie i w nocy. Ta w onejże też godzinie nadszedłszy wyznawała Pana, i powiadała o Nim wszystkim, którzy czekali odkupienia Izraelskiego. A gdy wykonali wszystko według zakonu Pańskiego, wrócili się do Galilei, do Nazaret miasta swego. A dziecię rosło i umacniało się, pełne mądrości i łaska Boża była w niem.

Mniemany żebrak.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

Ciąg dalszy.

— Żandarm mi to powiedział.

— On o tem wie najlepiej, — odparła zamyślając się Kasienka. Maciej niebawem powrócił, ale Kasienka niedługo się z niemi bawiła, i podziękowawszy za wieczerzę, wróciła spiesznie do zagrody Piotrowskich. Pod pozorem rychłego wypędzenia bydła na pastwisko, uprosiła sobie, aby tamże z dziewką folwarczną nocować. W gruncie rzeczy chodziło jej o zachowanie tem większej ruchów swobody. Wiadomość o powrocie Wawrzyna dodawała bodźca jej poszukiwaniom. Nawet doznane zatrwożenie na widok mordercy nie zdołało ostudzić jej zapału i ochoty. Licząc się zaś z osobistem niebezpieczeństwem, wyrozumowała sobie dość trafnie, iż nic jej się stać nie mogło w porze, gdzie o ratunek byłoby tem łatwiej, skoro ludzie wszędzie w polu pracowali. Na pierwszy jej krzyk o pomoc, zewsząd odsiecz była gotowa. Zresztą i konie miała pod ręką, nie wszystkie spętane, ażeby ucieczkę sobie ułatwić. Tego jednak dnia nie zeszła do nory żebraka, nie dała przez cały dzień najmniejszego powodu do podejrzeń swej towarzyszki. Dopiero wieczorem odesławszy bydełko pod strażą Antki, znów się ukryła w kaplicy, i za powrotem dziada, tak samo pełzając, podsunęła się aż pod otwór wiodący do piwnic zamkowych.

XIII.

Tym razem atoli, zamiast stanąć obok zamieszkanej przez żebraka pieczary, wsunęła się do drugiej, tak sobie rozumiejąc, iż jeżeli stary Niedola znanym sobie sposobem aż w dalsze wstępuje krużganki, dziurą przez nią wywaloną łatwo jej przyjdzie wyśledzić jego kroki i ruchy, zwłaszcza jeśli jakie światło roznieci. Wdrapała się tedy na gruzy, i zatrzymując oddech, wetknęła główkę w rozszerzoną szparę. Zrazu nic nie dostrzegła ani słyszała. Wszelako czekała cierpliwie,

domyślając się, iż wieczerza jak dnia poprzedniego, i teraz jakiś czas żebrakowi zajmie. Jakoż to przypuszczenie ją nie zawiodło. Po chwili usłyszała niewytłomaczone skrzypnięcie, potem zbliżające się stąpanie, i oto blask czerwony oświecił nagle drugą część piwnic zamkowych. Tu rozszerzały się one w okrągłą nieomal salę skupioną, przerwaną nieco dalej nowem zwaleniem się gruzów. Ciekawa dziewczynka wychylała się, aby lepiej obejrzeć miejscowość, gdy wtem cofnęła się na widok kroczącego z świeczką w ręku Niedoli. Szedł on pewnym krokiem ku gruzom zwalonym w głębi sali, nagle obszedł ją z tyłu — i zniknął, a wraz i wszystko w nową ciemnię pogrążonem zostało. Kasienka na chwilę zeszła z męczących czat swoich, wyciągnęła cierpnące nogi, ale nie oddaliła się wcale, lecz wróciła niebawem na dawne stanowisko. Czas mijał, i już się lękała, ażali jej nie wypada do domu wrócić, gdy nowe usłyszała kroki, i z poza kupy zwalisk wyszedł mężczyzna z światłem w ręku. Ale nie był to już stary żebrak, ale znów, jak poprzedniego wieczora, morderca Piotrowskich. Tym razem Kasienka z mniejszą już trwogą mogła mu się przypatrzeć. Przeszedł drogą, którą przed chwilą zjawił się był Niedola. Jednocześnie dało się słyszeć to samo skrzypnięcie, które już raz ucho jej uderzyło. Zaczem światłość nagle zagasła, i mrok znów wszystko ogarnął. Kasienka szybko ześliznęła się z gruzów i dopadła otworu dość prędko, aby ujrzeć raz więcej odchodzącego mordercę Piotrowskich. Gdy zniknął, podobnie jak dnia poprzedniego, czemprędzej skoczyła na konia i galopem popędziła ku domowi. Ale nazajutrz o wschodzie słońca już była na pastwisku. Przeczekała odejście żebraka, nawet i południe, aby się dobrze upewnić, że nie wróci z nienacka. Dopiero około drugiej godziny, gdy nikogo nie było widac na około, zostawiła znów bydło pod strażą Antki, a sama niby za gniazdami pobiegła w stronę zamczyska. Choć postanowiła doprowadzić do końca swe poszukiwania, nie bez obawy schodziła w ciemnię podziemi zamkowych. Wśliznęła się jak wąż przez otwór pieczary. Pomrok, który ją otaczał, chłód pieczary jak grób zimny, wszystko razem ścięło

krew w jej żyłach. Ale wnet otrząsła się z wrażenia grozy, a myśl wyjaśnienia tajemnicy przed przyjazdem Wawrzyna dodała jej skrzydeł. Nie chciała zrazu zapalać świecy, a nawet nie potrzebowała światła, tak bowiem wczoraj rozpoznała miejscowość, iż po omacku trafić wszędzie mogła. Tym sposobem doszła do kupy gruzów, za którą zniknął jej wczoraj Niedola. Tam przystanęła chwilę, i posłuchawszy nieco, ażali żaden znikąd hałas nie dochodzi, wyjęła z kieszeni świeczkę i ją zapaliła. Liche ona rzucała promienie, dość aby pozwolić dziewczynie w dalszą puścić się drogą. Przed nią rozwijał się korytarz, ludzką ręką wybity, załamany w środku, aby na prawo się zwracać. Kasienka śmiało weń wstąpiła, a niebawem doszła do olbrzymiej ośmiokątnej sali, pod wieżą zamkową położonej, i odpowiadającej wyższym piętrom. Szczęściem żywej duszy nie zastała, a jednak stanęła jak wryta, jakby wbita w ziemię. Widok jaki jej się przedstawił zaiste mógł ją w podziw wprawić. Sala ta zawierała zbiór tak różnorodny sprzętów, sukien, broni i najrozmaitszych gratów, że w pierwszej chwili trudno było sobie zdać sprawę, ażali to jaskinia zbójców, czy też skład galanternika. W samym środku, kryształowy lichtarz, z osadzoną w nim różową świeczką, stał na marmurowym stoliku. Przekonawszy się, iż nikogo nie ma w sali, świeczkę tę od własnej zapaliła łojówki, i chwyciwszy za lichtarzyk, jęła uważnie całą obchodzić salę. Sprzętów było najmniej, ale te które zostały, wielką uderzały ceną i wartością, a więc bronzy, porcelany, zegary z dwóch przeszłych wieków, wyraźnie pochodzące z rabunku okolicznych zamków. Broń porzucona na ziemię lub zawieszona na ścianach, tworzyła zupełny arsenał pałaszy i pistoletów nadzwyczaj kosztownych, strzelb z najlepszych fabryk, oraz i podlejszej, lecz także wybornie utrzymanej broni. Najbogatszą jednak była szatnia, złożona z mundurów najróżniejszych czasów i pułków, z sukien rozmaitego kroju i mody! były tam i płaszcze i surduty, i sukmany, i stroje bogate i bluzy rzemieślnicze. Stósami zalegały one ziemię, wisiały w względnym ładzie. Nie brakło obówia, i wszelkich części męzkiego i żeńskiego ubrania.

Kasienka rozpoznała nawet z grozą kilka kapeluszy o szerokich brzegach, w rodzaju tego, który przysłaniał twarz mordercy Piotrowskich.

Nie bez zdumienia ujrzała nadto w kącie tualatowy stół z zwierciadłem i całym szeregiem słoiczków z pomadą, różem i blanżem, snadź często będących w używaniu, pędzelki bowiem i szczoteczki dotąd były wilgotne. W innym kącie stał cały szereg kuferków z bielizną i skrzynia z wyborowem winem. Kasienka spróbowała uchylić wieka owych kufrów, w jednym znalazła skład amunicyi i gotowe naboje, w drugim z niemniejszą grozą poznała srebrny zegarek starego Piotrowskiego, kilka kosztowności należących do jego żony, oraz rulony złota, których posiadanie przyprawiło biednych staruszków o śmierć tak okrutną. Wszystko ciekawie oglądała, ale mimo dziecinnego podziwu nie bałamuciła nigdzie, i pospiesznie kończyła staranną rewizyę tych skarbów. Okrążywszy więc salę, postawiła na swojem miejscu lichtarzyk, a zapaliwszy znów własną łojówkę, różową zgasiła świeczkę, zaczem przyspieszonym krokiem tąż samą wyszła drogą. Ale niestety! było już zapóźno! Nagle usłyszała ów głuchy hałas, który zwykle poprzedzał wejście starego Niedoli z własnej jego jaskini, a z którego nie mogła sobie dotąd zdać sprawy, i w tej chwili mignęła się jej jakaś pełzająca czarna postać od strony przeciwnej zmierzająca ku niej; nagle potarta zapałka, oświeciła groźne oblicze żebraka. Kasienka własną na czas zgasiła była świecę, i szybko w tył się rzuciła, chroniąc się w cieniu wązkiego przejścia.

XIV.

Zrazu straciła przytomność i cofnąwszy się napowrót do sali kilkakrotnie jak szalona ją obiegła. Nagle trąciwszy nogą o kupę starych mundurów porzuconych w kącie, ukryła się pod niemi, wązką tylko zostawiając sobie szparę, ażeby nie stracić z oczu ruchów dziada. Ledwo miała czas zniknąć pod stosem mundurów, aliści żebrak drugą wszedł stroną. Gdyby się był znajdował w zwykłem usposobieniu, z pewnością podniesiona kurzawa byłaby zwróciła baczną jego uwagę. I świeczka, którą zostawił nieomal całą, do połowy się

wypaliła. Ale na nic nie uważał. Nie żeby był pijany, owszem nigdy może przytomniejszym nie wrócił. Wszelako najwyraźniej coś go niepokoilo i gniewało. Dla tego i wcześniej wrócił do zamczyska, i wciąż mruczał wydając głośno powody swego nieukontentowania.

— Jutro więc Wawrzyn wraca, i pościg się zacznie na dobre, właśnie gdy sądziłem, że cała sprawa już się zatarła. Przeczuwam, że będzie pilnie śledził i dochodził sprawcę zamachu na Piotrowskich. Ale zobaczymy! rzekł groźnie podnosząc głowę. — Przekonasz się dowodnie, mój chłopcze, że stary Niedola nie jest wcale pijanym i głupim dziadem, za jakiego go masz, lecz zarazem i Foskardem, jednym z najbitniejszych Płomyków, który ci zgotuje ładne i pamiętne przywitanie. Następnie dziad zrzucił i plastr z oka i temblak, na którym nosił rękę pozornie sparaliżowaną, a zasiadłszy przed stolikiem, jął pospiesznie pisać list, który następnie złożył i zaadresował. Wstawszy od biórka, poszedł po zegarek i kosztowności Piotrowskich, dodał kilka wytrychów i wszystko razem zwinąwszy, obok listu położył. Kasienka zauważyła, iż przy tych zajęciach obu rękoma jednakowo się posługiwał, i że nie było mowy o sparaliżowaniu jednej z nich. Tak samo i oba oczy równem błyskały światłem, choć jedna z powiek nieco zdawała się obwisłą i zwężoną. Zniknęła i kulawizna, którą tak przesadzał, upadając na lewą nogę, kiedy tę zaledwie nieco ją pociągnął. Tymczasem zwrócił się do stolika z zwierciadłem.

— Czas odzyskać ludzkie oblicze! — rzekł sam do siebie,i ręcznikiem umaczanym w wodzie zaczął się myć żwawo. Niknęła powoli czerwoność twarzy, rysy stawały się młodsze i mniej wstrętne, nos tracił purpurową barwę, choć nie brakło na nim pryszczów ognistych.

— Wyraźnie nadto piję znów wódki, — mruknął spoglądając w zwierciadło, — i nos mój za to pokutuje. Trza się na trzy tygodnie wyrzec okowity, a zalewać winem. Zwrócił się ku skrzyni, a wydobywszy butelkę szampana, nalał sobie puhar, który też duszkiem wychylił. Odrazu mu się humor poprawil. Patrzał teraz w zwierciadło z rosnącem

zadowolnieniem. — Ładny jeszcze z ciebie chłopak, Foskardzie, teraz się ustroić nam trzeba. Poszedł ku ścianie, wybrał sobie bogatą, z cienkiego sukna gunię włościańską, dodał czysty, wykrochmalowany kołnierz i mankiety, założył zegarek z błyszczącym łańcuchem, i zupełnie przybrał powierzchowność zamożnego wieśniaka. Nareszcie uchwyciwszy kij bukowy na którym z lekka się opierał, rzekł wesoło:

— Już teraz śmiało uchodzić mogę za Pawła Wilczurę, krewnego i spadkobiercę Piotrowskich. A uśmiechając się szyderczo dodał:

— Pomyłka będzie tem więcej usprawiedliwioną, żem się w jego ubrał skórę, odarłszy go z szat, i bodaj z życia, przed kilkoma zaledwie dniami. I raz jeszcze spojrzał w lustro. — No, i cóż byłbym najlepszego zrobił, wychodząc ztąd bez kapelusza. Podjął z razu kapelusz Płomyków, ale go wnet odrzucił, pogłaskawszy z upodobaniem szerokie, kortowe brzegi.

— Na dziś nie wypada się tem stroić, bo to nie moda teraźniejsza. Szkoda! szkoda i tęgich głów, które z pod tych kapeluszy nie jedną wymyśliły sztukę. Kasienka cierpła w swem ukryciu, tak jej żywo stanęły w pamięci obrazy mordu i pożogi nie dawno widziane.

— Mimo moich sześćdziesięciu pięciu latek, tęgo jeszcze wyglądam, — ciągnął dalej zbój, i mógłbym jeszcze nie jedną sprawką się poszczycić. Ale jakoś mi nie idzie jak dawniej, może i lepiej, bo choć się wyprawa uda, zawsze niepokojące po niej zostaną pamiątki... Ale już czas wędrować, czas zwłaszcza uprzedzić przybycie Wawrzyna, a już czasu mało. Wybrał więc włościańską czapkę, wypił resztę butelki, zabrał list i paczkę, zgasił świeczkę i wyszedł. Kasienka długo nie miała odwagi wydobyć się z ukrycia. Gdy jednak upewniła się, że niebezpieczeństwo minęło, zerwała się na równe nogi, i po omacku wyszła z podziemi, których rozkład dość już znała, aby nie potrzebować światła. Gdy jednak znalazła się na powietrzu, wśród ożywczych promieni słonecznych, takie ją ogarnęło upojenie, że mimowolnie zalała się łzami, i

rzuciła się na kolana. Miała zaiste czemu się radować i za co dziękować Bogu. Odkryła bowiem niezbicie, iż morderca Piotrowskich i stary Niedola był jedną i tą samą osobą, czego się zresztą domyśliła, odkąd poznała na ręku jego ślad własnych ząbków. Znała teraz wszystkie przebiegi, wszystkie schronienia i skrytki żebraka, i nazajutrz Wawrzynowi dostarczyć mogła dowodów co niemiara, dla stwierdzenia jego niewinności, oraz zamknięcia na dobre ust potwarzom. Jedno ją tylko niepokoiło. Oto co Niedola zamyślał zrobić z listem i paczką złupionych przedmiotów, co znaczyć mogły smętne jego przeciw Wawrzynowi pogróżki? Odsunęła myśli nękające ją nową obawą, mówiąc sobie, że do jutra i tak się wszystko wyjaśnić musi. Obiegłszy tedy jak zwykle zamczysko, dopadła gaiku, gdzie na nią czekała Antka.

— Nareszcie się znalazłaś! — zawołała ta ostatnia. Nakrzyczałam się co niemiara, aby cię ostrzedz, że stary Niedola już do swej jaskini wrócił. — Nie może być! oddaliłam się nadto, i nic nie słyszałam. — Dziad się upił bardziej niż zwykle i ztąd wcześniej przyszedł się wyspać. — Alboż jeszcze nie wyszedł? — Gdzież tam! — podchwyciła Antka, która nie widziała odchodzącego w wiejskiem przebraniu żebraka. Czy spostrzegł, że mnie tu nie było? — Bynajmniej, skorom i ja się schowała.

— Dobrześ zrobiła, niech wprzódy powoli wytrzeźwieje. Kasienka nikomu słowa o swych odkryciach nie pisnęła. Chciała zrobić niespodziankę Wawrzynowi i ucieszyć się jego radością. Pragnęła mianowicie towarzyszyć mu w rozpoznaniu chroniska starego Niedoli, i ostrzedz go o niebezpieczeństwach osobiście mu grożących. Że zaś dopiero w południowych spodziewano go się godzinach, udała się nazajutrz jak zwykle z bydełkiem na pastwisko. Sama jedna się tam znalazła. Antkę tego dnia matka w domu zatrzymała. Nie troszcząc się o to wcale. Kasienka usadowiła się pod drzewem z robótką i myślami swemi, i tak się niemi zajęła, iż dłuższy czas wcale oczu nie podnosiła. Aż tu nagle cień padł na jej ręce i oczy; zerwała sią wystraszona z miejsca. Przed nią stał Niedola, tak straszny i groźny, że dzie-

wczynka oniemiała z trwogi. Wytrzymawszy ją tak dobrą chwilę pod gromem spojrzenia swego, dziad wyjął z zanadrza chusteczkę kolorową jakąKasienka zwykła była na szyi nosić.

— Czy poznajesz tę chustkę? — zasyczał głosem pełnym wściekłości. Dziewczynka tymczasem się opamiętała nieco. — Ma się rozumieć, — rzekła, zręcznie dziadowi wyrywając chusteczkę z ręki. — Moja to własność, poczciwy jesteś bardzo Niedolo, że mi ją odnosisz. Ale gdzież ją znalazłeś? — Tam gdzieś ją zgubiła! — rzekł dziad patrząc w oczy dziecku wzrokiem pełnym groźby. Kasienka z lekka pobladła. Przypomniała sobie bowiem, iż wychodząc z podziemia, nie znalazła już chusteczki, z którą weszła była do pieczary. Ukrywając jednak pomięszanie, zawołała: — Alboż ja wiem? dosyć się przez dzień nabiegam.

— Kasiu, czy pamiętasz historyą Sinobrodego i żony jego? — spytał złowrogo Niedola. — Ma się rozumieć, — odparła dziewczka śmiało. — Wiesz tedy, jak ciekawość jej ukaraną została? — Wiem tylko, że wyśliznęła się z rąk oprawcy, który już mniemał, że ją trzyma.

I zręcznie dziewczynka jednym susem dopadła pasącego się opodal źrebaka, aby pędem ku wsi pospieszyć. Zaśmiała się na pożegnanie szyderczo, pokazując figę dziadowi. Ale Niedola dobrze wszystko sobie urządził i przewidział. Pędzący koń nagle się potknął o powróz założony podstępnie tuż nad drogą wiodącą do wsi. Dziewczynka nie spodziewała się zasadzki, spadła więc na bok, w krzaki, które acz nieco osłabiły gwałtowność upadku, ręce i twarz jej ostrem pokaleczyły cierniem. Choć ogłuszona, próbowała wstać i uciekać, ale już dziad ją był doścignął.

— Teraz cię już trzymam, żmijo, i nie popuszczę więcej. Gdy zaś próbowała szamotać się i krzyczeć, dodał ze złością: — Już ani kąsać, ani gadać nie będziesz, szatańsko córko! Chustką zatkał jej usta, a porwawszy ją w silne ramiona, biegnąc zwrócił się ku ruinom. Ale tymczasem zamiast zejść fosą do swej siedziby, udał się w bok ku studni znajdującej się w narożniku zamczyska, a tak głębokiej, że oko poziomu

wody dostrzedz nie było w stanie. Przyszedłszy nad jej brzegi, zmierzył wzrokiem zarosły cierniem i dziką roślinnością otwór, zaczem podniósłszy w górę swój ciężar, z całej siły cisnął dziewczynkę do studni. Zrazu dał się słyszeć trzask łamiących się gałęzi, poczem wszystko naraz ucichło. Schylony nad przepaścią dziad nasłuchiwał uważnie, czy się żadna nie podniesie z głębiny skarga. Ale najmniejszy nawet jęk słyszeć się nie dał, cisza grobowa zalegała ruinę.

Wtedy stary Niedola zwycięzko potrząsł głową: — Już z tąd się nie wydostaniesz żmijo, a choćby i ścierwo twoje znaleźli, każdy mniemać będzie, żeś przypadkiem tu wpadła. I pomrukując szyderczo, oddalił się po dopełnieniu nowej zbrodni. C. d. n.

KAT BYSTRZYCKI.

PODANIE SZLĄSKIE.

Za dawnych, bardzo dawnych czasów żył w Bystrzycy nad kłodzką Nisą, sukiennik, pracowity, uczciwy i ogólnem poszanowaniem szczycący się mieszczanin. Poważanie to słusznie nazywał on drogocennym skarbem. Ale posiadał — jak utrzymywał — drugi jeszcze skarb w córce jedynaczce, młodziuchnej i urodnej Barbarze, piękną Basią powszechnie zwanej.

Matka Basi już od kilku lat spoczywała w grobie, a sędziwy jej ojciec opadał z sił coraz więcej i mimo opieki i troskliwości swej jedynaczki, mimo jej łez obfitych poszedł do grobu.

Biada sierocie! Stokroć biada sierocie — dziewczynie jak Basia: niedoświadczonej, bo młodej, na pokusy i niebezpieczne sidła wystawionej, bo urodnej, a co najgorsza, zalotnej.

Około pięknej Basi zaczęli się kręcić młodzieńcy, co rzeczą naturalną. Z tych najurodziwszy i najzacniejszy podobał jej się bardzo,ale był on synem miejscowego kata i już zastępcą ojca w strasznem, ale bynajmniej nie hańbiącem rzemiośle tegoż.

I zaczęła się w sercu Barbary, gdy wspomniany młodzieniec o rękę ją prosił, walka, gdyż i inny jeszcze młodzian, syn bardzo zamożnego sąsiada, przystojny także, a nadto w obejściu gładki, bo w dalekim świecie bywał, ale próżny i lekki, o nią się zaczął starać. Kładła Barbara ważąc, co począć, na jednej szali miłość do tego, którego kochała, na drugiej zamożność i pańskie ułożenie drugiego; sama zaś była ubogą; to też sobie chętnie wystawiała przyszłość za mężem majętnym w kolorach pięknych, ponętnych, jakiej jej syn kata bystrzyckiego zapewnić nie mógł, bo także był niezamożnym — i zaręczyła się z majętnym. Ale ten niestety w rzeczywistości wcale nie myślał brać na seryo swych konkurów; były tylko sidła, które niecnie zarzucił zdrajca na zgubę łatwowiernej i próżnej dziewczyny. Jemu nie chodziło o szczęście z nią małżeńskie, ale o dogodzenie własnej próżności i o coś jeszcze gorszego.

To też uwiódł niegodziwiec nieszczęśliwą dziewczynę...

Daremne były następnie prośby Barbary, aby jej na najostateczniejszą nie wystawiał hańbę, daremne były jej łzy i rozpacz; — pod pozorem, że biednej pojąć nie może, opuścił ją zdradziecko.

Któż policzy łez strumienie, które Barbara przelała? Kto odgadnie, jakie męki po długich nocach, strasznym myślom oddana, przechodzić musiała?... Rozpacz nareszcie zaczęła szarpać serce nieszczęśliwej, rozpacz i wstyd i próżność i wszystko to uczyniło z niej — morderczynią własnego dziecięcia.

Sprawiedliwość, której baczności czyn ten nie uszedł, wskazała Barbarę na śmierć przez ścięcie. Chodziło tylko jeszcze o dzień, w którym straszną egzekucyą spełnić miano. Delikwentka pojednała się z Bogiem i z ludźmi i wyczekiwała z rezygnacyą śmierci.

Nadszedł nareszcie wyczekiwany termin.

Drogą ku północy spieszą tłumy Bystrzyczan na szubieniczną górę, gdzie zwykle przestępców na śmierć skazanych tracono. Tą też drogą prowadzą pachołkowie miejscy na śmierć skazaną Barbarę; idzie ona, po jednej stronie mając

spowiednika swego, po drugiej sędziego, który jej na rusztowaniu wyrok ma ponownie odczytać. Straszliwa to droga! Skazana idzie, na krzyż złożone ręce na piersiach trzymając i powtarza za kapłanem modlitwy, a gdy zadrży przed zbliżającą się straszną chwilą, rzeknie jej tenże: ufaj duszo, ufaj Bogu! Barbara na te słowa składa dłonie i spogląda w niebo, dając tem znać, że ufa Bogu.

I idą dalej.

Na szubienicznej górze rusztowanie, na rusztowania stoi pień, na którym na śmierć skazanym kat głowę ucina.

Na rusztowanie to wprowadzono Barbarę. Tu przy pniu stoi ten, którego była kochała, syn katowski, teraz już w urzędzie po zmarłym ojcu.

Bolesne to nad wszelki wyraz było dla obojga spotkanie. Barbara, wejrzawszy nań błagalnie, złożyła jak do modliwy ręce, bo mówić nie mogła. On też w milczeniu dał jej znak ręką, że jej przebacza.

Odczytano ponownie wyrok, kapłan ponowne dał pokutnicy rozgrzeszenie. Teraz zabrzmiał z wieży najbliższego w mieście kościoła dzwonek konających. Barbara położyła głowę na pniu, młody kat przystąpił, miecz uniósł.... ale czemuż nie uderza?.... czemuż nie spełnia wyroku sprawiedliwości....

Oto w tym momencie, gdy miał miecz spuścić, ujrzał — jak następnie zaręczał — obok głowy Barbary drugą głowę, z tułowu skazanej wyrosłą — nie wiedział, którą głowę ma uciąć. Tymczasem oddała Barbara Bogu ducha straszna trwoga śmiertelna ją zabiła.

Smok Smogorzowski.

Podanie szląskie.

Na Dolnym Szląsku w północnej części namysłowskiego powiatu, a nie daleko granicy kępińskiej ziemi, w Wielkim Księstwie Poznańskiem położonej, leży Smogorzow, prastara wiejska osada, ludem polskim, jak w ogóle cały ten kąt Szląska, zamieszkała.

O tym to Smogorzowie utrzymuje się pomiędzy tamtejszym ludem okolicznym podanie, odnoszące się do czasów szerzenia się chrześciaństwa w zachodniej Słowiańszczyznie. Smogorzowianie i okoliczni ich bracia nie znali jeszcze wtenczas, gdy się rzecz poniżej opowiadana stała, światła wiary prawdziwej, owszem, w grubej pogaństwa ciemnocie pogrążeni, żyli życiem marnem, pełnem przesądów i grozy.

I zdarza się, że przybyli onego czasu do Smogorzowa apostołowie chrześciańscy, i w domu gospodnym zagościli, a że miejsca dla nich nie było w świetlicy gościńcowej, musieli się pod dach udać na spoczynek.

Nazajutrz rano schodząc z owej góry obcy mężowie, usłyszeli z mieszkania właściciela gospody szerzący się wielki płacz i narzekanie, liczna zaś gawiedź stała przed domem, posępnie przed siebie patrząc.

I dopytują się apostołowie pilnie o przyczynę płaczu i narzekania.

— Oto tej nocy — odpowiada im ktoś z zapytanych — powiła gospodyni domu tego dziecię, synka.

— Toć wam się cieszyć i dobrotliwego Boga sławić dziękczynnie należy — jeden z apostołów rzecze — a nie biadać i płaczem zawodzić.

— Darmoć się cieszyć, weselić i dzięki składać — tłomaczą Smogorzowianie — kiedy niemowlę to pierworodne trzeba nam złożyć smokowi w ofierze.

— Jakiemu smokowi?—pytają chrześciańscy przybysze.

— Z daleka bardzo znać być musicie, obcy mężowie — Smogorzowianin jeden na to — jeżeli nic nie wiecie o strasznej pladze, jaka nas od niepamiętnych czasów trapi. Oto tu opodal naszej osady okropna znajduje się jama, a w jamie tej smok nienasycony żyje; smoka tego czcimy z trwogi wielkiej i składamy mu daniny, by nas, mszcząc się, nie pożerał i nie tępił nad miarę. Smokowi temu każde pierworodne dziecię się należy.

Opowiadanie powyższe przerwały głośne i rzewne skargi niewiast w gospodzie i przed gospodą.

— Uciszcie się, niewiasty! — wołają apostołowie — i

przestańcie się smucić, a położnicy powiedzcie, że nowonarodzone dziecię jej nie stanie się pastwą potwora w jamie, albowiem Bóg chrześcian, Bóg jedyny i pełen miłości, Bóg prawdziwy i wszechmogący nie dopuści tego.

Lud słucha słów tych z zdziwieniem i z niedowierzaniem i uważniej przygląda się przybyszom.

— Ale nie masz innej rady — woła ktoś z tłumu — bo jeżeli odmówimy zwykłej daniny smokowi, będzie się mścił, a siła jego niezmierna, żarłoczność nienasycona.

I znowu zaczęły zawodzić płaczem niewiasty.

— Bóg chrześcian, którego wyznawcami my przybysze jesteśmy, nie dozwoli — rzecze jeden z apostołów — aby niemowlę w smoczej jamie zginęło; aże nie zginie, sami zobaczycie. Smogorzowianie spoglądają po sobie i po obcych mężach i milczą, niewiasty wciąż płaczą.

— Bóg prawdziwy i jedyny Pan nieba i ziemi — ciągnie sługa boży dalej — w oczach waszych nam pozwoli smoka zgładzić, czem mir i wytchnienie wam sprawi.

Gdy lud smogorzowski chętnie daje ucha tyle obiecucującym słowom obcych przybyszów, nadeszli kapłani, smokowi służący, wzięli matce-położnicy nowonarodzone niemowlę i do jamy z niem spieszą.

I wzmógł się płacz i lament, w czem szczególniej głos nieszczęśliwej matki boleśnie górował; w czasie czego lud z błaganiem w oczach spogląda na apostołów, by w czyn zamienili obietnicę swoją.

Gdy się to dzieje, uzbraja się jeden z opowiadaczy słowa Bożego i spieszy za odchodzącymi kapłanami, a gdy ci w jamie zniknęli, wpada śmiało za nimi do lochu i rzuca się na smoka. Długo trwała walka; potwór smogorzowski zacięty i wielki stawił apostołowi opór, przecież ostatecznie uległ ramieniowi zwycięzcy i runął bezwładnie u nóg jego.

Lud zaś stał u wnijścia jamy i czekał w trwodze i nadstawiał uszu i słuchał, gdyż z wnętrza zrazu silny ryk, potem coraz słabszy się wydobywał.

Nareszcie pokazał się mąż boży, ale krwią zbroczony, na ręku zaś miał nietknięte i zdrowe niemowlę, które uszczęśli-

wionym oddał rodzicom. Ci, oczom swoim nie wierząc, gorące zwycięzcy składają dzięki. I coraz więcej się schodzi ludu i dziwią się wszyscy zwycięzkiemu a cudownemu czynowi chrześcianina i wszyscy mu dziękują, że ich uwolnił od straszliwej plagi. — Wszakżeście widzieli —apostół na to — jak marnem i słabem stworzeniem w obec potęgi naszego Boga, Boga chrześcian, był bóg smok, przez was obłąkanych z bojaźni dotąd czczony? Podobnie bolesne i mdłe wszystkie bogi wasze, a jedynie potężnym i wszechmocnym jest Bóg, któremu ja i towarzysze moi służą i który mi pozwolił zgładzić bestyą, która was tępiła. Zatem uznajcie Boga naszego za swego, uwierzcie weń, dajcie się ochrzcić i czcijcie go wraz z nami. Lud ochotnie dał się ochrzcić i odtąd jedynemu służył Bogu.

Ryk smoka w czasie walki jego z apostołem był tak potężnym, że ludzie we wsi Głuszynie, pół mili od Smogorzowa odległej, ogłuchli; a słyszeli go i mieszkańcy także pół mili oddalonego Rychtala.

Dotąd pokazują niedaleko od Smogorzowa „jamę smoczą“ i „drogę smoczą“. Na dzwonach zaś i na pieczęciach kościoła tamtejszego znajduje się wyobrażenie męża (św. Jerzego) zabijającego smoka.

W pobliżu leży wieś Krzyżowniki z pięknym kościołem. Tu według podania mieli apostołowie chrześciańscy pierwsze powznosić krzyże.

Inne jeszcze podanie niesie, że po śmierci Mieczysława II, syna Bolesława Chrobrego, króla polskiego, gdy Czesi, najechawszy Szląsk, srodze go pustoszyli, poprzednio Kraków a następnie Wrocław zdobyli, przeniesiono z Wrocławia do Smogorzowa na czas pewień stolicę biskupią.

O tem wspomina także historyk polski Jan Długosz. Był też tu aż do niedawna sędziwy bardzo kościół modrzewiowy, bez wątpienia najstarsza świątynia na Szląsku. Zastąpiono ją nową, murowaną. Około roku 1840 znaleziono w Smogorzowie pod staremi murami krzyże mosiężne, jakie zwykli nosić biskupi katoliccy, co twierdzenie Długosza niejako potwierdza.

Nowy Rok.

Gdy w dniu Sylwestra północ uderzy,
Znakiem że rok się nowy zaczyna,
Wstawaj na nogi kto w Boga wierzy,
Budź matko córkę, ty ojcze syna,
A przed święconym kląkłszy obrazem,
Módlcie się razem.

Módlcie się szczerze, dziękujcie Bogu,
Ze wam dozwolił dożyć tej chwili,
Gdy nowy roczek wita was z progu,
Który was szczęściem, zdrowiem zasili,
Da wam pociechę w pracy i trudzie,
Módlcie się ludzie.

Módl się rolniku, by cię Bóg chronił,
Od gradobicia, wojny, zarazy,
By twoją chatkę łaską osłonił,
I nie dopuszczał żadnej w niej skazy,
Praca, modlitwa, — to dwie pociechy,
Za nasze grzechy.

Módl się niewiasto za swoje dziatki,
Aby wzrastały w bojaźni Bożej,
Niechaj ci radość wnoszą do chatki,
Niech się dobytek wraz z niemi mnoży,
A jeśliś matką dobrą, uczciwą,
Będziesz szczęśliwą.

I wy rzemiosłu oddani swemu
Mieszkańcy grodów pomnijcie o tem,
Że nigdy bieda nie zajrzy temu
Kto swą modlitwę połączy z młotem,
Bo za złączoną modlitwę z pracą,
Nieba nam płacą.

Bo choć nas czasem dręczą kłopoty,
Spadają na nas klęski i kary,
Nieschodźmy nigdy ze szlaku cnoty,
Bo Bóg co łaski sypie bez miary,
I nam odpłaci kiedyś sowicie,
Za nasze życie.